

Marek Jurek: Skutki narodowego wyparcia

Wkrótce po wyroku Trybunału Konstytucyjnego na temat tzw. aborcji eugenicznej zainicjowaliśmy – tekstem Jana Rokity – dyskusję o etycznych, filozoficznych i prawnych aspektach tego orzeczenia. Do dyskusji zaprosiliśmy filozofów, teologów, prawników, lekarzy i publicystów. Dziś publikujemy głos Marka Jurka.

Johna Kennedy’ego i Jarosława Kaczyńskiego dzieli na pozór wszystko. Pierwszy otworzył nadzieję na bezproblemowy świat, drugi – zmobilizował swych zwolenników do niekończącej się walki. Pozornie łączyć ich może jedynie fotogeniczność, choć i w tym podobieństwie uderza od razu różnica. JFK to prekursor dzisiejszej wyszczerzonej polityki, czule patrzącej w oczy mas, od której wyczekuje władzy. PJK na zdjęciach wygląda jak cień dawnych wojowników Zimnej Wojny. Jego skupiony, drapieżny wzrok przypomina spojrzenia zapatrzonych w zło tego świata antykomunistów, Józefa Mackiewicza czy Zbigniewa Brzezińskiego. Jeśli się uśmiecha – to z okrutną satysfakcją, że tym razem wyszło na nasze.

Obaj jednak świetnie opanowali prestidigitatorską sztukę kierowania masami, bycia „za, a nawet przeciw”. Kennedy doskonale wiedział, gdzie leży granica konfrontacji z Sowietami. Kaczyński też potrafi doskonale wyznaczać (choć nie definiować publicznie) pola „pokojowego współistnienia” z Platformą Obywatelską. To nie tylko

traktat lizboński, armia europejska czy finansowanie partii politycznych, ale również wspólne zgaszenie na stracie projektu Stop Aborcji w 2016.

Jednak w tożsamościowej polityce trzeba się przede wszystkim różnić i walczyć. Gdy Fidel Castro zdobył władzę na Kubie, Kennedy wysłał antykomunistycznych powstańców do Zatoki Świń, dał im transport i nic ponadto. Kaczyński wysłał kwestię prawa do urodzenia się dzieci niepełnosprawnych do Trybunału Konstytucyjnego, unikając jednocześnie jakiegokolwiek zaangażowania w debatę. Obie sprawy skończyły się podobnie. Choć masakra w Zatoce Świń była krwawa, a agresja Ruchu Wypier**lać miała charakter głównie (choć nie wyłącznie) werbalny, oba te wydarzenia odegrały rolę symbolicznych zwycięstw – choć w jednym wypadku zwieńczenia, w drugim początku – Rewolucji. Kaczyński i jego współpracownicy w ciągu kluczowych 100 godzin po ogłoszeniu Orzeczenia Trybunału zatroszczyli się przede wszystkim o to, o co Kennedy po masakrze w Zatoce Świń – o powstrzymanie się od „ulegania emocjom”, czyli od bezpośredniego zaangażowania.

Brak szerszej reakcji społecznej na ekscesy Ruchu Wypier**lać był tylko logicznym zwieńczeniem systematycznego demobilizowania zaangażowania na rzecz prawa do życia w ciągu ostatniej dekady, a szczególnie po 2015 roku. Oficjalnie mówiono, że życie nienarodzonych powinno być chronione w ramach zawartego (przepraszam – obowiązującego) „kompromisu”. Poprawka, którą przed chwilą zrobiłem, jest świadoma. Do tej pory nie wiadomo, kto i kiedy ten

kompromis miałby zawrzeć. W 1993 roku partią przewodzącą w walce o prawo do życia było Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe; byłem wówczas przewodniczącym jego Rady Politycznej i żadnego kompromisu w tej sprawie nie zawieraliśmy. Po prostu niektóre z zapisów proponowanej przez nas ustawy zostały – wbrew nam oczywiście – odrzucone w głosowaniach poprawek, jednak cała ustawa stanowiła postęp. Być może jakiś kompromis zawierano w 1997 roku, gdy Sejm, po uchyleniu najważniejszych przepisów ustawy przez SLD w 1996 roku, realizował Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 1997 roku, które przesądziło o zachowaniu w polskim prawie ochrony nienarodzonych. Być może wówczas SLD zawarło z UD kompromis, że zapisy kodeksowe nie zostaną przywrócone w brzmieniu z 1993 roku. Może, ale nawet jeśli – to był „kompromis” bez prawicy, która dopiero wiele tygodni później wróciła do Sejmu.

Za każdym razem, gdy trzeba było bronić obowiązującego prawa przed łamiącymi je dezinterpretacjami, przed faktycznym pozbawianiem go treści i wpływu, Prawo i Sprawiedliwość uchylało się od zaangażowania

Biorę to słowo w cudzysłów nie tylko dlatego, że tego kompromisu nie zawarto, ale również dlatego, że ci, którzy się nań powołują – nigdy nie zachowywali się tak, jakby byli stroną kompromisu, który wywalczyli.

Kompromis bowiem to sytuacja, w której obie strony korzystają z zawartych czy choćby funkcjonujących ustaleń. Niczego takiego nie widzieliśmy.

Trafnie napisał Jan Rokita, że „od czasu uchwalenia sławnego «kompromisu aborcyjnego» przeszło ćwierć wieku temu, praktyka jego stosowania uległa liberalizacji, legalizując de facto usuwanie ciąży w przypadku niezbyt ciężkiego upośledzenia płodu, jakim jest chociażby tzw. «zespół Downa»”. Ale ta „faktyczna legalizacja” zabijania nienarodzonych nie dokonała się samoczynnie.

Za każdym razem, gdy trzeba było bronić obowiązującego prawa przed łamiącymi je dezinterpretacjami, przed faktycznym pozbawianiem go treści i wpływu, Prawo i Sprawiedliwość uchylało się od zaangażowania. Szerzej opiszę moment, który można uznać za początek tego procesu. W 2008 roku miała miejsce „sprawa Agaty”. Lubelska nastolatka zaszła w ciążę ze swoim chłopakiem i pierwotnie chciała urodzić dziecko. Ale wnuka bardzo nie chciała jej matka. W sprawę się wdała „Gazeta Wyborcza”, na jej łamach Monika Płatek ogłosiła nową, nieznaną wcześniej doktrynę – ciąża będąca wynikiem przestępstwa dotyczy również dziecka pary nastolatków, jeśli jeden z rodziców (więc także zapalony do starszej koleżanki chłopak) w chwili poczęcia nie miał lat piętnastu. Prokurator wystawił certyfikat (właściwszym określeniem byłby może cyrograf) potwierdzający prawdopodobieństwo przestępstwa i wykładnia (dodająca nowy aborcyjny „wyjątek”) weszła w życie.

Reakcja (opozycyjnego wówczas) PiS była nadzwyczaj umiarkowana: parę doraźnych krytyk pod adresem ówczesnej minister zdrowia, Ewy Kopacz, które szybko zgasły. Gdy dwa lata później minister Kopacz zostawała marszałkiem Sejmu – w debacie parlamentarnej wielokrotnie przypomniano jej fatalną rolę po katastrofie smoleńskiej, ale w ogóle nie wrócono do, świeżego ciągle przecież, a w konsekwencjach ciągle

*Sugerowanie, że czas na
ochronę życia przyjdzie wtedy,
gdy aborcjonizm zniknie – to
kiepska bajka dla dorosłych,
obrażająca nie tyle sumienie,
co inteligencję narodu*

działającego,
wywrócenia
wykładni przepisów
chroniących życie;
do ewidentnego
złamania prawa, bo
minister zdrowia
miała przede
wszystkim
obowiązek bronić

młodą matkę przed bezpośrednią presją aborcyjną, nielegalną w polskim prawie.

PiS miał okazję do sprawy lubelskiej wrócić raz jeszcze, po zdobyciu władzy, co więcej – w sposób odpowiadający swoim zainteresowaniom. Ujawniono bowiem wówczas, że prokurator, który wyraził zgodę na zabicie dziecka Agaty – nie podjął żadnych kroków „w sprawie” przestępstwa, którego „prawdopodobieństwo” stwierdził. Sprawa była idealnie PiS-owska: pokazywała lekceważenie i tolerancję prokuratury dla bezprawia, nadawała się na komisję śledczą albo na demonstracyjne odwołanie prokuratora. Krótko mówiąc – na pokazanie, że przepisy chroniące życie to obowiązujące prawo, którego lekceważenie kończy się wraz z nadejściem IV Rzeczypospolitej!

Mediolodzy twierdzą, że opinia publiczna ujawnia swój charakter, swoje wartości i zasadnicze żądania, poprzez mechanizm „afery” i „skandalu”. W ten sposób dokonuje się zakreszenie ram i warunków brzegowych życia publicznego. I w ten sposób, bezpośrednio, uświadamia się władzy jej oczywiste obowiązki. Dla PiS „sprawa Agaty” aferą jednak nie była. Choć powinna być przysłowiowa, trzeba ją za

każdym razem – jak właśnie w tej chwili – szczegółowo przypominać. A wydarzeń, w trakcie których wyzowano z treści obowiązujące prawo, owe „zdobycze ciężko wywalzonego kompromisu”, rzekomo bronionego przez PiS, było o wiele więcej.

Mediolodzy twierdzą, że opinia publiczna ujawnia swój charakter, swoje wartości i zasadnicze żądania, poprzez mechanizm „afery” i „skandalu”. [...] I w ten sposób, bezpośrednio, uświadamia się władzy jej oczywiste obowiązki

Tak bowiem było, kiedy wprowadzano na polski rynek nowe środki wczesnoporonne (polskie prawo wyklucza aborcję farmakologiczną), gdy opozycyjny PiS nie żądał żadnej reakcji od Urzędu Rejestracji Produktów Lekowych

czy po prostu ministerstwa zdrowia. Tak było w czasie debaty in vitro, gdy PiS w ogóle nie chciał odwoływać się do obowiązującej ustawy (więc – powtórzę raz jeszcze – do „zdobyczy bronionego kompromisu”). I wreszcie w ostatnich latach, które u progu rządów PiS zaczęły się śmiercią małego Huberta w szpitalu na Madalińskiego w Warszawie, a skończyła się upowszechnieniem (co ujawnił dziennikarz Artur Stelmasiak) notorycznej praktyki odbierania wręcz zgody od rodziców przychodzących na tzw. aborcję niepełnosprawnych dzieci, że dziecko nie będzie ratowane, jeśli nie uda się go zabić w łonie matki i urodzi się żywe. To już działo się po „dobrej zmianie”.

W żadnej z tych spraw nie było poważniejszej reakcji PiS. A odbijające się od władzy postulaty i protesty prędzej czy później wygasają. Minister Zbigniew Ziobro, lider „prawego” skrzydła obozu PiS-owskiego, nie chciał się nawet spotkać z przedstawicielami Chrześcijańskiego Kongresu Społecznego, by porozmawiać, czy w walce z przestępczością aborcyjną, godzącą w „zdobycze kompromisu”, nastąpiła jakakolwiek dobra zmiana.

Ów niezawarty „kompromis” – jak napisałem na początku – był „obowiązujący”. Zobowiązywał jedynie do niezajmowania się prawem do życia. A największą miarą indyferentyzmu radykalnej centro-prawicy w tej sprawie było zaniechanie rzeczy najprostszej; władza nigdy nie przywoływała jako obowiązującej normy Orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 28 V 1997 roku, które jasno stwierdziło, że ochrona życia od poczęcia stanowi konieczny warunek demokratycznych rządów prawa.

Dlaczego podejmowanie tych nie podjętych interwencji byłoby tak ważne? Bynajmniej nie dlatego, że odstraszyłoby aborcjonistów, którzy i w Polsce byli zawsze, i w innych krajach Zachodu działają wszędzie. Sugerowanie, że czas na ochronę życia przyjdzie wtedy, gdy aborcjonizm zniknie – to kiepska bajka dla dorosłych, obrażająca nie tyle sumienie, co inteligencję narodu. Nie ma nic dziwnego, że w Polsce zaawansowany liberalizm (nieprzerwanie od pół wieku przyswajający sobie kulturę skrajnej lewicy) przynosi te same efekty, co na Zachodzie. Można to opisywać. Ciekawsza jest jednak refleksja nad naszą

odpowiedzialnością, jak ona może korygować niezależne od nas procesy. Historia ostatniego trzydziestolecia pokazuje zaś, że wbrew rozpowszechnionemu zabobonowi opinia społeczna nie zawsze działa na zasadzie akcja-reakcja, częściej jak system naczyń połączonych – im demonstracje w obronie życia były większe, tym aborcjonistyczne mniejsze i odwrotnie.

*Choć bowiem dla polityków
„spory światopoglądowe”
bywają złem koniecznym, na
ogół je lubią. Mogą się w nich
pluralistycznie
„pozycjonować” wobec
elektoratu, a spory te
przychodzą i mijają dość
szybko, wzmacniają
wizerunek, ale nie zmuszają
do stałego zaangażowania*

Jeśli amerykańscy konserwatyści mogą dziś cieszyć się z wprowadzenia Amy Barrett do Sądu Najwyższego, jeśli nadzieje budzi zbudowana tam przez ustępującego prezydenta konserwatywna większość, to dlatego, że sprawa ochrony życia nigdy w Ameryce nie

zgasła. Kolejni republikańscy prezydenci dawali temu wyraz kontynuując politykę z Mexico City (określaną na skrajnej lewicy jako „globalny knebel”), zakazując finansowania, w ramach polityki pomocowej wobec zagranicy, organizacji praktykujących lub popierających dzieciobójstwo prenatalne. W Kongresie federalnym i w polityce stanowej sprawa ochrony życia jest cały czas obecna. Politycy, tym bardziej sędziowie, muszą zajmować w niej osobiste, konkretne, a nie zdawkowe, stanowisko. Właśnie w ten sposób mobilizowana jest opinia publiczna. Nie przez niekonkluzywne rozważania w

teoretycznych magazynach (które skądinąd, jeśli są jednak konkluzywne, odgrywają w życiu publicznym rolę niezastąpioną), ale przez argumenty padające w konkretnych, przykuwających uwagę publiczną, sporach społecznych. Tego właśnie u nas z roku na rok było coraz mniej. Sprawę cywilizacji życia jako zasady ustrojowej, której w przeszłości bronili politycy tej rangi, co marszałek Senatu, Alicja Grzeškowiak czy prezes Trybunału Konstytucyjnego, Andrzej Zoll, która miała w latach 90-tych partię traktującą ją jako priorytet, a zabiegającą o poparcie innych ugrupowań – teraz zaczęto wypychać z polityki, spychać na pozycję „proliferskie”.

Warto sobie też uświadomić, że PiS-owi łatwiej było w okresie opozycji zagłosować jednorazowo za ustawą identyczną jak przetrzymana w szufladzie od poprzedniej kadencji, antyeugeniczną Zatrzymaj Aborcję, niż systematycznie pilnować wykonywania obowiązujących przepisów o ochronie życia, niż reagować za każdym razem, gdy pojawiały się naruszające je precedensy.

Prawo staje się fikcją, jeśli nie wykonują go ci, którzy mają je realizować – nauczyciele, sędziowie, dyrektorzy szpitali

Choć bowiem dla polityków „spory światopoglądowe” bywają złem koniecznym, na ogół je lubią. Mogą się w nich pluralistycznie

„pozycjonować” wobec elektoratu, a spory te przychodzą i mijają dość szybko, wzmacniają wizerunek, ale nie zmuszają do stałego zaangażowania. Krótko mówiąc – do prowadzenia polityki. Dla PiS-u, gdy blokował najpierw ustawę Stop Aborcji, potem Zatrzymaj Aborcję, wcale problemem nie było rozszerzenie zakresu ochrony życia; PiS po

prostu nie chciał w ogóle ze sprawą ochrony życia być nadmiernie kojarzony. Oczywiście musiał zachować poparcie wyborców rozumiejących moralne pierwszeństwo prawa do życia i ustrojowy charakter tej sprawy, bo bez nich nie można w ojczyźnie Jana Pawła II utrzymać wielkiej partii prawicy. Rozwiązując tę kwadraturę koła Jarosław Kaczyński wymyślił przekierowanie sprawy do Trybunału Konstytucyjnego, a więc: załatwić, ale się nie angażować. A wcześniej stanowczo stwierdził, że „stanowiska PiS-u w tej sprawie nie ma i nie będzie” bo „każdy musi we własnym sumieniu to rozważyć”. Krótko mówiąc: narodzie, przekonaj sam siebie – do czego chcesz, zresztą.

Tymczasem rzeczy, nawet po 22 października, mogły wyglądać inaczej. Porównajmy tylko dwie reakcje PiS: na protesty przeciw zmianom w Trybunale Konstytucyjnym w okresie 2015/16 i obecnie. Mogły wyglądać odwrotnie. Wtedy mógł PiS zachować się jak teraz: powstrzymać się od eskalacji, wstrzymać dalsze działania, szukać kompromisu i wyjścia z napięcia. Taka polityka jedynie by PiS-owi pomogła. Dziś w Trybunale byłoby „tylko” 73 % sędziów powołanych przez obecną większość, a Trybunał miałby 100 % należnego autorytetu. Czy było warto rezygnować z tej perspektywy dla dwóch stanowisk więcej? Pytanie jest retoryczne, a ważne jest coś jeszcze. Jarosław Kaczyński przekonał do swej polityki nawet tych zwolenników, którzy działalnością Trybunału się nigdy nie interesowali, którzy nic o nim nie wiedzieli. I przekonał ich nie dywagacjami na Kongresie Polska Wielki Projekt, ale konkretnymi, podjętymi działaniami z całą towarzyszącą im emocjonalną aurą.

Tak mogło być właśnie teraz, nawet bez demonstracji, na które nie czas w czasie pandemii. Ale lider PiS nigdy nie mówił, że „aborderzy, zarabiający na śmierci niewinnych, to najgorszy gatunek ludzi”, nigdy nie wzywał działaczy swej partii do organizacji manifestacji w obronie życia, PiS nigdy nawet nie wywiesił billboardów w sprawie prawa do życia, choć na przykład rząd Węgier toczył w tej sprawie spór z Unią Europejską. Nie było nawet orędy prezydenta czy premiera na Narodowy Dzień Życia.

A przecież nie brakowało w polityce PiS oskarżeń, marszów, ofensyw. Życie odpływało gdzie indziej, coraz dalej od życia. I tak właśnie stygła odpowiedzialność i opinia publiczna.

Rozruchy październikowe dostarczyły nam więc „krzepiącej wiedzy, że jesteście sami”, że sprawę pracy na rzecz promocji prawa do życia, które jest niezbędnym składnikiem państwa dobra wspólnego, najbardziej konkretnym znamieniem odróżniającym je od państwa relatywistycznego – musimy wykonać od nowa. Prawo staje się fikcją, jeśli nie wykonują go ci, którzy mają je realizować – nauczyciele, sędziowie, dyrektorzy szpitali. Dobrym początkiem tej pracy, ale tylko początkiem, może być walka o stosowanie tego prawa, począwszy od publikacji Orzeczenia Trybunału.

W przeszłości większą moc w tej sprawie miał wyśmiewany upór, nonkonformizm, zderzenia z medialną agresją – niż dzisiejsza arbitralność władzy. Tworzyliśmy prawo, budząc jednocześnie sumienia i tworząc bazę dla jego realizacji. Tej pracy nie wolno było zaniechać. Teraz trzeba ją zaczynać od nowa. Będzie wymagać aktywności społecznej, ale żeby aktywność ta była owocna – musi mieć wyraz na forum publicznym, reprezentację zabiegającą i domagającą się realizacji odpowiedzialności państwa. A polityka musi odróżniać dobro od zła, bo bez tego nie będzie potrafiła ani zdefiniować dobra wspólnego, ani chronić narodu przed złem publicznym.

Marek Jurek

Zbigniew Stawrowski: Rozmowa o aborcji

Ks. Robert Skrzypczak: Przyszła burza. Kilka refleksji na marginesie aborcyjnej i ateistycznej furii w naszej Ojczyźnie

Maria Ryś: Psychologiczne skutki przerywania ciąży

Nierozstrzygalny spór o oczywiste wartości – artykuł Pawła Grada

Jarosław Kupczak OP: Upadek katolickiego imaginarium i Strajk (niektórych) Kobiet

Odpowiedź 25 polskich Dominikanów na „Apel zwykłych księży”

Bądźmy obrońcami bezbronnych! Tak zawsze czynił nasz Patron –
oświadczenie wykładowców Uniwersytetu Kardynała Stefana
Wyszyńskiego

„Obrona prawa poczętych do życia to kwestia naszego
człowieczeństwa” – rozmowa z o. Jackiem Salijem OP

„To jest bitwa o świadomość młodzieży” – artykuł Grzegorza Górnego

„Odnaleźć prawdę o powinnościach wobec człowieka” – artykuł ks.
Jacka Grzybowskiego

„Niepełnosprawni intelektualnie, czyli czyste człowieczeństwo” –
artykuł Tomasza P. Terlikowskiego

„Wyrok” – tekst Jana Rokity

Foto: Galeria Instytut Ordo Caritatis



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

